JÓZEF CZECHOWICZ

POEMAT O MIEŚCIE LUBLINIE

OŚRODEK
DRAMA
LUBUSKA
TEATR NN

2012

Poemat o mieście Lublinie

JÓZEF CZECHOWICZ

POEMAT O MIEŚCIE LUBLINIE

109 urodziny Poety

15 marca 1903 — 15 marca 2012

OŚRODEK
„BRAMA GRODZKA — TEATR NN"
WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY

Na wieży furgotał blaszany kogucik
na drugiej — zegar nucił.
Mur fal i chmur popękał
w złote okienka:
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był —
i cisza.

Dokoła
pagórów koła,
dymiąca czarnoziemu połać.

Mgły nad sadami czarnemi.
Znad łąki mgły.
Zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły.

We mgle nie słychać kroków, które zbliżają wędrowca ku miastu rodzinnemu. Ścieżyny polne pęcznieją, nabrzmiewają w drogi, a te znów rozlewają się szeroko wśród falistych pól. Szosa się toczy. Zrywający się wiatr szumi w kłosach. Północ niedaleko, a jeszcze ktoś wodę ze studni ciągnie. Żuraw słychać. Jeszcze wiejsko tu. Jeszcze wiejsko. Księżyc goni wśród chmur. Mgła rzednie. Wędrowcze, oto już kręte uliczki starego przedmieścia, Wieniawy. Dawniej, gdy winnice opinały te wzgórza, nazywano je: Winiawa. Idąc dziś między cieniami ruder i zapadłych w ziemię domostw myślisz, wędrowcze, o tym tylko, że miasto kochane już cię ogarnia i tuli.

Ciemniej.
Pagóry, zagaje, podłęża
nie sypią się wiankami na oczy.
Ciemniej.
Z nieb czeluści otwartej na ścieżaj
biegną ciche niedźwiedzie nocy.

Nad ulicami, rzędem,
czarne, kosmate,
będą się tarzać po domach do chwili,
gdy księżyc wybuchnie zza chmur, jak krater.
Świat ku światłu przechyli.

Blachy dachów dudnią bębnem.
W dół, w górę, nierówno się kładzie
perłowy lampas:
w prostopadłej gromadzie
przedmieścia lampy.

Przeciw niedźwiedziom to mało!
Gną się, kucają domki, zajazdy, bożnice
pod mroku cichego łapą.
Ach! Trzasnęłyby niskie pułapy!...
...ale już zajaśniało.
Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

Wędrowcze, masz towarzysza. Księżyc w pełni, srebrny, daleki pójdzie odtąd za twoimi krokami. Powiedzie cię do miasta umarłych, gdzie twoi bliscy leżą pod głazami i darnią. Osrebrzy ci stare kamienice w rynku, widma ukaże w kościele na Zamku, wreszcie znowu cię w pola wywiedzie przez ulicę Szeroką, przez Kalinowszczyznę i Czwartek.

To jest księżyc, towarzysz. Niech sobie poeci mówią: tarcza, gołąb srebrny, korab nadziemski. Dla ciebie to jest po prostu księżyc. Może nawet księżyc z Twardowskim, może ze Świętym Jerzym. Bo przecież świecił taki sam nad ulicą, gdy matka opowiadała ośmioletniemu: Święty Jerzy tam ze smokiem walczy. Bo przecież to tu było w tym mieście, do którego wracasz, jak syn marnotrawny.

Wiatr, znowu wiatr się podrywa. Obaj, on i księżyc, ku cmentarzowi idą. Do ojców. A wiatr głosy jakieś przynosi od wieżyc miasta.

Zegary, twarze nocy niewesołe,
hasło podają: pół — noc, pół — noc...
Dołem
place konopne, lniane,
ulice — długie mroku czółna,
lamp łańcuchami spętane.

U krańca Lublina czworokąt czarny
szumem poemat wiatrów skanduje.
Klony, brzeziny, kasztany, tuje
obsiadły wyspę umarłych.

Aleje głuche mamrocą nocą, jak rynny.
Blask blady gwiazdy samotnej opiera się
o cień,
o bluszcz, żałobny barwinek,
paprocie.

Krzyże z marmuru, anioły brązowe srogo
stanęły na piersiach trumien.

Pieje kogut.

Napisy z bramy cmentarza w pamięci zakarbuj, zatnij: „Oto teraz w prochu zasnę — z prochu wstanę w dzień ostatni"...

Napojony smutkiem, zamyślony i o świecie niewiedzący idzie wędrowiec miastem. A ono głuche. W głównej ulicy tu i ówdzie rozmowa spóźnionych przechodniów, tu i ówdzie brama zamykana trzaśnie.

Kroki jego spadają na kamienny bruk, mechaniczne, nieważne. A przecież idzie wśród dobrze mu znanych murów. W blasku latarni wzrok zadumanego mógłby odczytywać napisy na sklepach. W tym, narożnym, kupiono mu trąbkę dziecinną, gdy był maleńki. Przy tamtym żegnał się z matką i siostrą, wyruszając na front. A oto i dom, w którym przeżył chwile najłagodniejsze. Na drugim piętrze okno jest otwarte. Ktoś na pianinie gra.

A teraz ciemność. To nie księżyc skrył się w obłokach. To ogarnął cię, wędrowcze, mrok Bramy Krakowskiej. Zbudź się, zbudź, patrz dokoła! Za chwilę wejdziesz na rynek.

Kamienie, kamienice,
ściany ciemne, pochyłe.
Księżyc po stromym dachu toczy się, jest nisko.
Zaczekaj. Zaczekajmy chwilę —
jak perła
upadnie w rynku miskę —
miska zabrzęknie.

W płowej nocy,
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany,
bez mocy,
cień fiołkowy uklęknie.

Gwiazdy żółte, które lipcowy żar ściął,
lecą — kurzawą — lecą,
firmament w złote smugi marszczą,
za Trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem.

Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozpływa
w rosie porannej, w zapachu ziół.
Jak pięknie!

No, do ranka jeszcze daleko, choć w lipcu świty są tak wczesne. Możesz jeszcze długo tu stać i chłonąć nocne uroki.

Rynek. Tu dom Acerna, tu kamienica Sobieskich. A ot i narożnik ze lwami z kamienia. Tu chodziłeś do szkoły. Pamiętasz, bo jakże by nie pamiętać! Toż to tu właśnie, a nie gdzie indziej przeżyłeś pierwszą chwilę poezji, wieczorem słuchając starego miasta.

Zamień wspomnienie w wiersz. Same pojęcia: wspomnienie i poezja są sobie bardzo bliskie.

Oto wiersz:
Niebo odmienia się, choć wieczór nie ścichł,
wiatr jeszcze szepce, nim uśnie.
Niebo fioletem szeleści.
Wiatr — już nie wiatr — uśmiech.

Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru,
dziewczęta chwalą Marię.
Z Archidiakońskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arie.

Domów muzyczne milczenie
złączone z tęczy łukiem
na czoło kościoła promieniem
opada, jak pukiel.

A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spiżu.
Dzwon wieczorny
mocą metalu kapiąc
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:

raz — i dwa — i trzy — — —

Wędrowcze, nic tylko księżyc i domy, wiatr i kościoły, gwiazdy i doły ulic. Idziesz, idziesz, jeszcze jedną mijasz bramę, pniesz się w górę zaułkami podzamcza, stajesz przed niskim łukiem. Łuk jest w kratach, a nad nim błyszczą liktorskie rózgi i topory. Minąłeś kraty, dziedzińce zamkowe, przeszedłeś u stóp baszty księcia Daniela.

Jesteś w zamkowej kaplicy. Klęknij. Skarbiec to i serce Lublina, miasta Jagiellońskiego.

W kościoła oknie na płask
błysnął wodą stojącą księżyca blask.

W ciemnym wnętrzu jest smuga białawego
szkliwa.
Nie wiadomo jak taka barwa się nazywa.
Chodzi, chodzi w ciemnościach
ruchomy światła korytarz,
jakby noc palcem srebrnym wodziła niebieska
po gotyckich łuków smukłości,
po freskach.

Dziecko tak palcem wodzi po książce, gdy
czyta...

Tu skały malowane są tronem Dziewicy,
gdzie indziej zaś podwójny Chrystus
ciemnolicy
w dwa kielichy odmierza wino.

Święci z pustelni, Mario surowa,
kwiaty kapiące z wnęk, odrzwi, nisz,
archaniele pancerzem jasny — o czym
w promieniu śnisz?
Jakie apokalipsy śnią się smokom, orłom?

Żadna trąba nie woła.

Księżyc palce swe cofa w mroku kościoła.

Za szybą migoce Orion.

Były czary i dziwy. Minęły, zrobiło się codziennie, powszednio. Tylko ten księżyc...

Chyba czas już na ciebie. Trzeba zejść ulicą Zamkową w mrok zaułków, potem wynurzyć się z ciemności na ulicy Szerokiej, która naprawdę jest szeroka. A stąd, przez uśpione przedmieście, nogi same poniosą cię, nocny wędrowcze, w daleki świat. Porzucisz mury dobrze ci znane z czasów, gdyś biegał tu za drewnianym kółeczkiem, z czasów, gdy zachwyconymi oczyma patrzyłeś na tłumne procesje Bożego Ciała, gdy każda noc wigilijna była bardziej srebrna niż w bajkach.

A teraz?

Ludzi tamtych już nie ma, ni czasu tamtego. Ale, wędrowcze, cień towarzyszy ci, jak zawsze i noc jest ulana ze srebra poświaty. Opuśćże to miasto z pogodą w sercu, tak, jak je witałeś.

Chorągiewka na dachu śpiewa,
bladej gwiazdy wypełza pająk.
Latarnie w czarnych drzewach,
kołyszących się mrugają.

Ciepła woń płynie z piekarń,
a cisza z zamkniętych bram.
Gdyby pies na dalekim przedmieściu nie
szczekał,
byłbyś — jak nigdy — sam.

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słychać,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona — niebios kochanka —
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów...

Dobranoc miasto stare, dobranoc. Drogi białe wychodzą stąd na północ, zwężają się w ścieżyny, ścieżyny rozlewają się w drobne strużki steczek. Wędrowiec jest już tylko ciemnym punkcikiem na jednej z nich.
Zniknął za wzgórzem.
Dobranoc, miasto,
dobranoc...

Składał ręcznie
pismem paneuropa i nicolas cochin
Tadeusz Budynkiewicz

Drukował na maszynie typograficznej
F. M. Weiler z 1903 roku
Paweł Głodzik

Zaprojektował i zredagował technicznie
Wiesław Kaczkowski

Korekta
Anna Kistelska

ISBN 978-83-89464-31-6

Wydawcy

Ośrodek Brama Grodzka Teatr NN

Oficyna Wydawnicza
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie

Druk
Oficyna Wydawnicza WOK

Dla uczczenia
109. rocznicy urodzin
Józefa Czechowicza
wydrukowano 109 tomików
ręcznie numerowanych

Numer